CZARTAK

ZBÓR POETÓW W BESKIDZIE



MCMXXV

8

MCMXXV

CZARTAK

ZBÓR POETÓW W BESKIDZIE

POEZJE

JANINY BRZOSTOWSKIEJ
EDWARDA KOZIKOWSKIEGO
TADEUSZA SZANTROCHA
EMILA ZEGADŁOWICZA

NAKŁADEM
CZARTAKA
MCMXXV

DO CZYTELNIKA

Nie wiem, czy był to przypadek, czy przeznaczenie, że czterech poetów naraz pokochało tę ziemię, którą tak łatwo ogarnąć jakiemś patetycznem spojrzeniem z przełęczy babiogórskiej, a najłatwiej i każdej chwili przemierzyć zwykłem sercem. Może w samym przypadku leży już ukryte ziarno przeznaczenia, które prędzej, czy później wzejść musi... A gdyby nawet tak było, radujmy się pełnią jednego dnia, przeżytego w znojnej pracy, który w szeregu przeznaczeń był może jeno przypadkiem.

Mniej to, zapewne, obchodzi i czytelnika i nas samych, niźli to, że Beskid, o którym wspomnienie zaledwie przelotne zawdzięczamy tej, czy innej książce, znalazł gorących orędowników w sercach czterech najwyraźniej poetów.

Ta Republika Górska, zamknięta jakiemiś górami, miastami i wioskami, które najłatwiej znaleźć na tej, czy innej mapie, leży zdala od zgiełku europejskiej i swojskiej dyplomacji, i stanowi odrębne niejako państwo—i charakterem ludności i charakterem przyrody.

Podobno istnieją jakieś kamienie graniczne, z których deszcze kilkuletnie, a nawet kilkumiesięczne, zmywają niesprawiedliwe wyroki i orzeczenia ludzkie, — ale dla nas, czterech poetów, niema granic politycznych w tej rzeczywistości, budowanej mozołem wielu wieków, a rozpromienionej entuzjazmem poetyckiego wejrzenia.

My jedni wiemy, gdzie wbić należałoby słupy graniczne tej Republiki, którą powoływała do życia nie sucha statystyka długich kolumn cyfrowych, poparta ostrzem bagnetów, ale tęsknota licznych pokoleń, rozmiłowanych w niebezpieczeństwach każdej ścieżki i w niepokoju tego wiatru, który czyha na człowieka równin.

W tych słowach prostych i niewyszukanych, mówiących o rzeczach jeszcze prostszych, a takich właśnie niecodziennych, jak szum wiatru w konarach stuletnich lip, chcemy wypowiedzieć nietyle tę odrębną szczęśliwość ludzi, zamkniętych ścianami gór, ile raczej wysupłać z dna serca radość naszą z przeżytych dobrze lat.

Trzeba tylko przyłożyć ucho, nawykłe do turkotu ulic i jakichś niepotrzebnych rozmów, do tej ziemi, wyniesionej ponad zwykłą miarę kaprysem geologicznych przemian, wykuwających dolę tej właśnie garstce ludzi, której rzeczywistość nie wysuszyła z pod powieki ostatniej łzy tęsknoty...

Trzeba tylko oczy zmęczone wykąpać w tym lazurze niezmierzonych obszarów nieba, gdzie każdy poranek nowe widnokręgi odsłania, pojąc tchem słonecznym tysiąc kwiatów

o tysiącu barw, aby zrozumieć, że odwieczna tęsknota nie szuka lokaty dla swego szczęścia, lecz echa jedynie dla tego rytmu krwi, pulsującej w sercach naszych.

W tej bezinteresowności, która dla nas jest miarą zarazem największych porywów minionych i idących pokoleń, chcemy zamknąć wszystkie ambicje i kalkulacje naszych indywidualności literackich, różnych może krojem liści, ale wyrastających z jednej ziemi, której przyświecało jedno słońce i poiły wszystkie deszcze zachmurzonych widnokręgów.

Obojętne są i będą naszym sercom wszelkie zakusy narzucenia nam jakichkolwiek zamysłów tworzenia nowej szkoły poetyckiej.

Spotkaliśmy się na tej ziemi, niektórzy idąc z różnych krańców Polski, nie w celach aneksyjnych ani misjonarskich. Republika Górska nie zniosłaby jednego bodaj dnia okupacji przez obce jej siły.

Wydźwignięta ponad inne ziemie cudowną legendą przemian fizycznych, istnieje sama dla siebie tymi skrawkami uprawnych znojnie pól i tą ewangelją religijno-społeczną, szukającą wyrazu w pochyleniu głowy przed każdym świątkiem przydrożnym i w pozdrowieniu wędrującego gościńcem czy ścieżką człowieka.

Prowadziła nas do tej ziemi jakaś gwiazda szczęśliwa, którą wypatrzeć można niemal wszędzie, ale w którą nie każdy chce uwierzyć, bo tak trudno zaufać własnej prostocie, wyrastającej z aktu wyrzeczenia się.

Szliśmy do tej ziemi świadomi swej wiary, która silniejszą była nad tysiące pokus, wyzierających z poza rogatek każdego miasta, bośmy pokochali już w tęsknocie i w tej tęsknocie powitali kopce graniczne naszej Republiki.

Ale i to pomijamy, bo pierwsze słowa, jakie wybiegły nam na usta, były słowami radości, że wyciągnięte w przestrzeń ręce spotkały ciebie, ziemio beskidzka...

Czyż radość z osiągniętego celu, który nie jest przecie celem w sobie, nie wymazuje wszystkich błędów i kroków fałszywych, których każdy z nas nie doliczyłby się w rejestrze przeżytych lat?!

Niechaj ten uśmiech jedynego szczęścia spłaci choć w części ogrom zaciągniętego wobec wieczności długu, bo nie ilością równoważy się to zobowiązanie, ale jakością uczucia, którego wszyscy czterej świadomi jesteśmy do ostatka. Ta świadomość upoważnia nas w pełni do stwierdzenia na tem miejscu, że poezja, będąca wyrazem uczuć naszych, jest poezją naszych czasów i naszej ziemi. Nie tworzymy poezji lokalnej czy partykularnej, bo wolno nam ukochać jakiś skrawek ziemi, zasobny w piękne tradycje przeszłości, który utrzymał się w ramach tych nieprzemijających legend dzięki mocnej indywidualności tej ziemi. Z najwyższych szczytów tej Republiki Górskiej chcemy rozsiewać światło na wszystkie cztery strony świata, w myśl odwiecznej prawdy, że wszelka radość idzie z gór.

A z drugiej strony, dlaczego wielkie miasto z niepokojącym turkotem tramwajów i gwizdem syren samochodowych, ma

być koniecznie obrazem naszej epoki, jakby powolne poruszanie się dyliżansów w minionych czasach było jedynem odzwierciadleniem życia tych stuleci. Nie w kategorjach zewnętrzności doszukiwać się należy tego pulsu wewnętrznego, który napewno bije pod każdą płytą chodników wielkich miast. Dlaczegóż zresztą nasza Republika Górska nie może taksamo reprezentować najwierniej epoki współczesnej? Żrzadka wprawdzie przebiegają tymi gościńcami auta, nie widać tutaj aeroplanów, ale w każdej piędzi tej ziemi tak łatwo wyczuć rytm żywego życia, będący jeno dalszym ciągiem przeszłych epok.

Przyjacielu-czytelniku, to znaczy jeden z tych, którzy nie znaleźli rozbieżności między rytmem uczuć naszych, a prostotą zdań tych, otwierających książkę niniejszą,—chodź ze mną! Cząstkę drogi zaledwie pokażę tobie, bo z tych cząstek właśnie, jak ze skrawków pól, składa się ziemia nasza.

Od samych Wadowic prowadzi gościniec, wijąc się kapryśnie wśród pól i lasów. Tysiąc zakrętów wygina ten trakt snać po to, aby oko nie uległo znużeniu i nie zatraciło się w nudzie dróg równych. Każda pochylnia raduje cię więcej niżli dobrze ubita ścieżka, których tutaj niema.

Wszystkie gatunki drzew zeszły się na ten gościniec i towarzyszą ci w tej długiej — miarą kroków — drodze. Przeważają jednak wierzby i kasztany.

Tu i ówdzie—lipa, zadziwiająca rozłożystością konarów i niezliczoną ilością serc, nawleczonych na gałązki. Bo to

jest lipa z rodu lip stuletnich. Tam znów — grupa topól włoskich, wystrzelających prosto pod same niebiosa.

A gdy miniesz ostatnie domki, wybiegające daleko poza Wadowice i wejdziesz pod osłonę starego lasu, może uda ci się dojrzeć w tumanach mgły—Babią Górę, której nikt, idący tędy, ominąć nie może.

Wreszcie za pierwszą spotkaną karczmą wita ciebie ze wszystkich stron ogrom przestrzeni i słońca.

Dziesiątki gór i miejscowości. Z prawej strony: Gorzeń Dolny, Gorzeń Górny, Iłowiec i cudowna dolina Ponikwi z przeskakującą po kamieniach Ponikiewką, wysychającą nierzadko w skwarne południe,— a z lewej: rozległa ściana lesistych Jaroszowic, idących za tobą krok w krok do samego niemal Mucharza.

W dolinie ponikiewskiej, o kilkadziesiąt kroków od drogi, dożywa dobrze zasłużonych lat stary młyn, liczący chyba kilka wieków, jeden z tych młynów, o których słyszy się tylko w jakichś bajkach.

Najwyższe wyniosłości tej okolicy: Gancarz, Królowa Wyżnia i Leskowiec – wyglądają z poza łańcucha kop i pagórków, rozrzuconych wzdłuż tej drogi.

W bok od Królowej Wyżniej idzie górami i lasami królewski szlak, który otwierał sobie Jan Kazimierz, wracający z wygnania do ojczyzny.

Krokiem równym, bez zbytniego natężenia, zostawisz poza sobą Świnną Porębę ze słynną karczmą Urysia, o któ-

rej po dziś dzień jeszcze chodzą wśród mieszkańców nieprawdopodobne opowieści, a w które musisz uwierzyć, skoroś wyszedł na ten gościniec i zawierzyłeś mojej znajomości terenu.

Jeśli na tych lipach i topolach, zrzadka wyrastających na zakręcie drogi, ujrzysz kapliczkę z Chrystusem Frasobliwym, skłoń głowę pokornie, bo tu już — taki zwyczaj i zapamiętaj tę figurkę, dzieło Jędrzeja Wowra, ostatniego rzeźbiarza i pierwszego świętego Beskidu.

Za którymś zakrętem powita cię naraz plant kolejowy, idący nad samym niemal brzegiem Skawy. Tak łatwo z nasypu kolejowego poznać całą kapryśność tej cudownej rzeki, wyginającej swój bieg w linję ciała kobiecego. Tysiąc barw ze wszystkich palet impresjonistów francuskich odnajdziesz w falach tej rzeki, mieniącej się w słoneczny i w pochmurny dzień łuską złotego nurtu.

Wody Skawy omywają całe pasmo Beskidu Małego, zabierając po drodze tysiąc dopływów i potoków górskich, zbiegających do niej od szeregu lat. Można powiedzieć bez przesady, że ta najczystsza ze wszystkich rzek Republiki Górskiej, szlifująca kryształy wód swoich na wszystkich kamieniach Beskidu, niema sobie równej na całej kuli ziemskiej.

Współdziałanie promieni słonecznych z wartkim prądem tej rzeki, wytwarza w jakichś zakrętach biegu pierwiastek cudotwórczego radu, którego boskie działanie odczuć musisz, zanurzywszy w tem roztopionem złocie ciało swe, znużone

skwarnością długiej drogi. Taki chrzest odbyć musi zresztą każdy mieszkaniec równin, przekraczający granice Republiki Górskiej.

Jeszcze kilkadziesiąt, a może i więcej kroków, i wyrasta przed tobą w wieńcu trzydziestu wierzb i jednej topoli, stara budowla z kamienia w typie romańskim, dźwigająca na swych barkach trzysta conajmniej lat. To — Czartak! Ongiś kaplica arjańska, dziś — niewiedzieć czemu i za czyją sprawą — przytulisko dla bezdomnych fornali.

W tej starej kaplicy, z której została ledwie jakaś absyda, znaleźli mniej więcej przed trzystu laty schronienie przed orgją prześladowań najszlachetniejsi z najszlachetniejszych: arjanie.

Szabla drewniana, z którą nie rozstawali się nigdy, była czemś więcej, niźli symbolem ukochań i przekonań tych pierwszych antymilitarystów świata.

A jeśli, drogi czytelniku, nie jesteś zwolennikiem nowinkarstwa, które — zaznaczyć chcę mimochodem — nie zginęło, ale przeciwnie, żyje w naszej Republice Górskiej, wskażę ci tę drogę na prawo, która prowadzi do samego Mucharza. Idąc za memi wskazówkami, dojdziesz do kamienistej pochylni, po której przezwyciężeniu, staniesz u wrót kościoła mucharskiego, gdzie możesz zakończyć tę drogę złożeniem modłów tobie właściwych.

Ja zaczekam na ciebie przy tej kaplicy arjańskiej, bo tutaj zwykłem chwalić imię Pana.

Droga nasza — skończona.

Byłeś dobrym towarzyszem moim i cierpliwym słuchaczem wszystkich wywodów, które i tak poddawałem skrótom, aby nic nie uszło twej uwadze. Ten biały domek w pobliżu Czartaka, to — przystanek kolejowy. Możesz wracać najbliższym pociągiem do Wadowic i dalej jeszcze. Ja pójdę tą samą drogą, aby jeszcze raz przyjrzeć się tym wszystkim cudom z przeciwnej strony i w innem nieco oświetleniu.

Jeśli zechcesz, wyjrzyj w jakiejś chwili oknem z biegnącego wagonu, a może raz jeszcze ujrzysz mnie, wędrującego tym gościńcem i może nie po raz ostatni.

Żegnaj tymczasem i niechaj wszystkie świątki z tych lip i topól przydrożnych prowadzą ciebie szczęśliwie do samego kresu upatrzonej drogi...

— — — — — — — — — — — — — — —

Czterech poetów!

To tak łatwo policzyć na palcach i jeszcze raz wymienić tę cyfrę, ale o ileż trudniej zmierzyć zakres możliwości jednego bodaj tylko.

Nie o tem zresztą chcę mówić. Bo to i mniej, zapewne, interesuje czytelnika...

Raczej — kim jesteśmy i co z sobą niesiemy?

Dwóch z pośród nas wydała i wykarmiła ziemia beskidzka.

Te beskidziaki czystej krwi i najlepszej rasy, to — Janina Brzostowska i Emil Zegadłowicz.

I z nich jesteśmy dumni najwięcej.

Właściwie to tylko jeden Zegadłowicz, który od kilku lat osiadł na stałe w swym Gorzeniu Górnym, prowadzi systematycznie radosną propagandą poetycką Beskidu. Nie będę wyliczał tych wszystkich książek, w których mowa — o Beskidzie. Od „Powsinogów beskidzkich" wszystkie śpiewają o tej cudownej ziemi, nawet te, których poeta jeszcze nie napisał.

Autor „Kolędziołków" kocha namiętnie pracę i jeśli agituje wśród nas, to tylko za pracą, tą żmudną — od świtu do nocy, mierzonej każdem uderzeniem serca.

W tem jednem tkwi może najwięcej bezinteresownej miłości koleżeńskiej. Resztę bowiem znajdzie ciekawy czytelnik w każdej książce naszego przyjaciela i serdecznego kolegi.

Janina Brzostowska jest autorką jedynie „Szczęścia w cudzem mieście", ale też jesl jedyną beskidzianką z pośród nas, co się równoważy w zupełności. A gdy jeszcze dodam, że jest pierwszą bodaj poetką, której każdy wiersz przeczy tej zdawkowej czułostkowości, jakiej pełno we wszystkich książkach kobiecych, nabierzesz napewno do niej przekonania dobry czytelniku, który tak małem darzysz zaufaniem kobiety piszące.

Tadeusz Szantroch pochodzi z Tarnowa. Długie lata był zaciekłym militarystą: bijał i pijał. Teraz już nie! W długiej poniewierce żołnierskiej zszedł całą Polskę wzdłuż, wszerz i wpoprzek; a jednak przylgnął całem sercem do Beskidu i osiadł w Wadowicach. Ma żonę i jedną córkę. W czasie

wojny wydał dwa tomiki: „W zorzach krwi" i „Z lutni żołnierza", bezsprzecznie najlepsze ze wszystkich wierszy wojennych — poza jednym, jedynym Józefem Mączką, bo bez tej łezki sentymentalnej dziesiątków poetów, którzy wojny nigdy nie widzieli, a jeśli... to chyba w kinie. Ostatnią książką Szantrocha są „Cyklady". W zbiorku tym na czołowe miejsce wybija się wiersz o skromnym tytule: „Droga", w którym opisał poeta cząstkę tej właśnie drogi — z Wadowic do Gorzenia Górnego, którą przeszedłem w twojem miłem towarzystwie, cierpliwy czytelniku.

„I tak przeszedłem ją, tę drogę,
której się bałem w nudy trudzie...
I zawsze, wszędzie iść tak mogę.
Przydrożnych świętych wielki cudzie"... —

kończy Szantroch ten wiersz, który zdecydował ostatecznie o naszem zbrataniu.

Ostatni z nas czterech, to — ja, Edward Kozikowski, autor „Tęsknoty ramy okiennej" i „Końca Hortensji Europy". W książkach tych powiedzieć chciałem jeno, że kocham wieś, a nienawidzę miasta, jak to słusznie zauważył jeden z niestarzejących się hierofantów krytyki polskiej, o którym myślę zresztą najlepiej, choć nie wiem czy potrzebnie. Jeśli idzie o miejsce zamieszkania, to obecnym postojem moim jest Warszawa, ale tęsknota moja mieszka w tych górskich ścieżkach Beskidu, po których wędrują ptaki, wychodzące tutaj na

spotkanie jednych i tych samych gwiazd i jakichś chmur przelotnych.

Dlaczego pokochałem tę Republikę Górską, dowiesz się — czytelniku — z „Wymarszu świerszczów", który już napisałem i wkrótce zacznę drukować. Skoro przeczytasz, będziesz musiał zawyrokować, czy mam prawo zwać się obywatelem tej ziemi, ja, dziecko wielkiego miasta, sąsiad najbliższy gwiazd i strzelających w niebo wieżyc kościelnych... Bo mieszkam na piątem piętrze.

Poza nami, czterema, o określonych imionach i nazwiskach, jest jeszcze takich, jak my, legjon cały, różnych powsinogów i pasterzy beskidzkich, o których wiedzą tylko gościńce i pastwiska, i jakaś legenda tej ziemi, dzieląca życie na takie, czy inne epoki, aby łatwiej było pisać historję. Ale to już mniej obchodzi ciebie, czytelniku, który i tak byłeś cierpliwy. Bądź zdrów!

Gorzeń Górny, 30 sierpnia 1924 r.

EDWARD KOZIKOWSKI







LUDWIK MISKY:
PORTRET JANINY BRZOSTOWSKIEJ

JANINA BRZOSTOWSKA:

BEZ PRZEWODNIKÓW
TOPOLE W RADOCZY
WADOWICE
LUDZIE NA BRZEGU
W TE GÓRY...
MŁYN W BIAŁCE
CODZIENNĄ DROGĄ
CMENTARZ W MUCHARZU
W WĄWOZIE
SAMOTNICY
KU SZCZYTOM

Bez przewodników

Z miasteczka, które przysiadło bezpiecznie
na pierwszym stopniu wzgórz, idących z dolin,
pragnę wyjść w obszar ziem nieznanych jeszcze.

Bez przewodników poznam wszystkie drogi,
i przejdę każdym najpiękniejszym mostem,
jak w coraz nowy świat wiodącym progiem!

Pośród rozstajów, na krzyżu dróg prostych,
gdy tajemniczą wiatr mnie zwabi wieścią —
z nim pójdę. Może na ścieżyny ostre

wzgórz mię wywiedzie, na łąki, co świecą
ostem, pieniącym kwiatów swych dna suche
srebrzystym puchem? Lecz to — wszystko jedno,

ku której stronie... Nie wiążą mnie ludzie:
każdy ma ciche szczęście swego kąta,
ja — tylko wolność! — więc bez serca złudzeń,

bez przewodników: złote wschody słońca,
pachnące zmierzchy, rzeka gwiezdnem lśnieniem
płynąca, drzewa urodą szumiących
w wysokie łuki splecionych gałęzi,
strojące drogi z wszystkich dolin w przestrzeń!

Topole w Radoczy

Mają wyciąć już w najbliższe dnie
szereg starych topól przydrożnych,
bo spróchniałe i niepotrzebnie
cień rzucają w dworskie zagony.

Na ich miejsce posadzą inne:
pożyteczne i mniejsze drzewa.
Z tych i opał — niedobry w zimie
i sprzęt trwały zrobić się nie da.

A tak butnie głowy wynoszą,
jakby między płatami roli,
same szły tą daleką drogą
zagubioną w błękicie dolin.

Pachną wiosny wezbranym sokiem,
co z korzeni wierzchołków sięga,
i zielenią wabią obłoki
w dźwigających niebo gałęziach.

Szumiąc słońca spływają lśnieniem,
jak kroplami złotej kąpieli —
bez ich cieni, rzuconych wieńcem
w orne pola, będzie — weselej...

Wadowice

Ty małe miasto nad rzeką,
w wieńcu wierzb starych i wiklin,
pozaplatanych miętą —
półsenne w ciszy przejrzystej.
Może ukrywasz dziwy, znane jedynie dzieciom,
z któremi bawisz się w „świat“,
lecz ja twe tajemnice, biegnące sercu naprzeciw,
znam od tak wielu lat!

Dziś chcę się tobie napatrzeć
miasto, milczące w dolinie, na gwieździe dróg starodawnych,
bo może przyjdzie odejść na zawsze
od ziemi twej łaskawej.
Od ulic, których najmniejszy załom
odsłania na tle błękitu
wzgórza, biegnące pierwszą falą
ku ciemnej linji szczytów.
Od tej doliny, której łąkami
śle zmienny nurt swej wody
rzeka, co w rytmie mej krwi zostawia
rytm fal swych niespokojnych.

Zanim odejdę, nim słońce zgasi
zielone płomyki liści,
chcę, ciebie, ziemio, w pamięci jasnej
zamknąć przed obcych dni przyjściem.

Chcę zabrać z sobą srebrzyste lśnienia
wierzb, wiosną pachnących młodą,
i cień bujnością chłodnej zieleni
rzucony w ciszę ogrodów;
dzwonów, co rano rozkołysanych
jedyną w świecie harmonją,
i wszystko, co mi gwarnych miast zamęt
uciszy tęsknoty tonem.

Ludzie na brzegu

Mgły włóczą się nad Skawą. Wtulają w wikliny
białe, mokre ramiona, własnym chłodem drżące.
Woda lśni, jakby znała pozę rzeki z kin,
szeroko płynąc, kwiatów dosięgła na łące.

Głusza przeraża ludzi. Patrzą z trwogą skrytą —
nikt się nie waży mówić prędko, ani głośno.
Woda pod hydrometru doszła biały szczyt,
fale wyżej i wyżej bez wytchnienia rosną.

Grozi nieszczęście. Smutne, blade twarze ludzi.
Szare piany i białe mgły w zżółkłych wiklinach.
Przewoźnik gdzieś pod drzewa zaciągnął swą łódź, —
nie przeprawi nikogo. To — nie jego wina.

W te góry...

W te góry, mało znane zwykłemu turyście,
który zawsze uważa na dróg barwne znaki, —
chodź z nami! Od Wadowic wędrując po Żywiec,
spotkamy puszcze, rzeki, ruiny i zamki.

W którą stronę wzrok wyślesz, gdzie skierujesz kroki,
wśród dalekich obszarów, od szczytów do nizin:
najpiękniejsze są właśnie te zielone łąki,
te szczyty zatopione w milczeniu szczęśliwem;

bory, żywiące cieniem całe bujne państwa,
wyrosłe na zbutwiaych, starych pniach paproci:
pod ich gęstwą, przy ścieżce, co już mchem zarasta,
wraz z nami, lecz bez słowa, na chwilę wypocznij.

Tutaj nikt nam nie zmąci turkusowej ciszy
nieba, pochylonego nad gałęzie jodeł —
tu może siebie samych będziemy najbliżej,
jakby nigdy nie istniał stu przymusów kodeks.

Wieczność przepłynie obok wraz z słoneczną falą
promieni, i radosnych nie licząc już godzin,
uwierzymy, że ziemia minie, a zostaną
święta ciszy — za chwilą śmierci i narodzin.

Młyn w Białce

W las się skrył młyn ten stary, sławniejszy niż
[ponikiewski,
co na Iłowiec odstawiał mąkę dla ukochanej królewskiej.
Kiedyś, za Kazimierza Wielkiego, w dolinie wzniesiony
[pięknej,
dziś jeszcze ziarno korcami miele dla okolicy dalekiej.

Wieczorem nad strumieniem sina unosi się mgła;
stary młynarz spogląda na młyn w zmierzchu niebieskim.
W progu domu siedzi spokojny, lecz do młyna zajrzećby
[się bał:
ktoś stąpa tam i płacze, trzeszczą zbutwiałe deski.

Ktoś kiedyś, dawno, utonął
niedaleko wielkiego koła;
nie trzeba mówić w noc głośno,
bo odpowie, zawoła.

Mąki na składzie — dużo, lecz nie przyjdzie tu żaden
[złodziej.
Cicho... Posnęły ryby w głębi pod wodospadem.
Źle tylko, że żona młynarza wieczorami tamtędy chodzi,
bo może w wodę wpaść przez nieuwagę.

Codzienną drogą

Za wędrującą pośród łąk linją
krwawych jarzębin —
idę, by kroków przemierzyć liczbą
ten smutek, co mię gnębi.

Może za którymś z nagłych zakrętów
niespodziewanie,
zalśnią radosnych dalą perspektyw
przestrzenie w słońcu skąpane.

A może cienia żalu i lęku
taki przedemną — ogrom,
że pozostanie ostatniej z tęsknot
zawsze jedyną drogą.

I pył jej jeszcze, żałobny motyl
nademną się zakołysze —
w przepaści, która wszelkich dróg wyloty
w jednaką rzuca ciszę.

Cmentarz w Mucharzu

Mały cmentarz żywopłotem przepasał łąkę,
na tej wzgórza pochyłości w słońce patrzącej.

Pod kępami pachnących, bujnych koniczyn
nikt już dzisiaj nie zdoła mogił policzyć;

w ciernie głogów się kryją, w wysokie osty,
które nawet wąską ścieżkę prawie zarosły.

Stare głazy zapadły w ziemię gliniastą, —
pod krzyżem rozwija pąki ostatni aster.

Ludzie tutaj przychodzą z osiedli górskich,
drogą stromą, zasypaną kamieni mnóstwem,

by ostrożnie mijając omszałe schody,
w płytkie groby ciężary trumien ułożyć.

Lecz odchodzą najrychlej, i nie patrząc wstecz,
poza bramę zaplecioną z zielonych gałęzi.

W ciszy wonnej słodyczą koniczynnych kęp
ptaki dziobią jagody pełnych soku ostrężnic.

W wąwozie

Ścieżka wije się kręto dnem wąwozu wąskiem,
obok brzegu strumienia, który cicho płynie.
Idziemy: ja, ty, oni, — w rozbawieniu głośnem;
echo chwyta wśród gwaru coraz inne imię.

Słońce co krok się chowa za krawędź doliny
i okrzyki idących uspakaja cieniem.
— Chodź ze mną, śpieszniej naprzód, a na krótką chwilę
zakręt ścieżki ukryje nas przed ich spojrzeniem.

Zamienimy przelotny jeden pocałunek
i zanim nas zobaczyć zdołają, spokojnie
pójdziemy znowu pierwsi... Lśni bez szmeru strumień...
— — słyszę jak prędko, głośno bije serce moje.

— Idźmy dalej. W tym małym, zamkniętym wąwozie,
który ujął w zielone ramiona nurt wody,
przez drzewa, w dni jesiennych pierwsze barwy strojne,
słońce rzuca na wodę blask drżący, łagodny.

Ruchliwa fala mieni się srebrem, czerwienią,
i nagle niżej spada jakimś śmiałym zwrotem.
Znów z oczu im giniemy. W modrym krzewów cieniu
niepokoi nas tylko duży biały motyl.

Teraz dolina—szersza. Nad strumieniem kwiaty
większą przestrzeń zajęły,—mniej chłodu i cienia,—
i jeszcze jeden zakręt! już pewnie ostatni.
Dalej przez pól otwartych równinę pójdziemy.

Tu drzewo ponad ścieżką pochylą się nisko;
jeszcze jeden ostatni, krótki pocałunek—
za zasłoną tych lśniących jasnem złotem listków—
zamienimy niechcący—dobrze?—Tak jest cicho— —

Samotnicy

Na wysokich szczytach, wokół nas, przejrzystość dali,
chłód wichrów, które zapomniały miast.
Nie ujrzymy w noc świateł, gdy w chatach się zapalą,
dojdzie nas jednak wołanie najdalszych gwiazd.

Będziemy je nieść z sobą ścieżkami wśród głazów,
nie przez równiny zielone.
Nie chcemy schodzić z wyniosłych skał,
ani tęsknić za swoją oazą,
za domem.

(Przez sen kiedyś w lesie, pod namiotem
ktoś głośno łkał. Dlaczego? pytać nie trzeba,
bo jeśli z własnej woli tak daleko odszedł,
nie dla niego — doliny i ta równa ziemia).

Razem z nami wędrują obłoki,
białe skrzydła wysoko unoszą;
czasem jeno pod nasze stopy
upadają, zieleń łąk płosząc.

Wówczas oczy otwieramy śmiało
i radujemy się ciszą zawsze jednakich złudzeń:
wydaje nam się przez chwilę, że serce już w piersiach [zdrętwiało,
— na szczęście —
bo powracać nie chcemy do ludzi.

Ku szczytom

I

Ziemio! Ty szczytem jesteś, z którego daleko patrzę:
w wieczność i nieskończoność.
Nad mroczną otchłań przestrzeni, za gwiazd najwyższe
[szańce
sięga niezmierny widnokrąg, bez kresu nieboskłonu.

Z twych lądów, jak z wielkich teras
na cztery wszechświata strony
uderza okrzyk człowieka,
i bez echa wraca, strwożony.

Nic nie wiem, — wszyscy nic nie wiemy,
i nie wiesz także ty,
w jakie głębie wieczności idziemy,
nieme znaki pośród ślepej mgły.

A jeśli wmawiamy w siebie, że w światów celach nasz cel,
że moc ich w żyłach naszych nadzieją gra:
to nie — prawda! to kłamie w nas krew!
Znamy szczerze tylko bunt i żal!

II

O ziemio! któż smutek nasz uciszy —
niechaj staje się jako być ma!
Ty nas nie słyszysz,
oszczędźmy skarg.

Usiądźmy w domach naszych spokojnie,
niechaj oczy nie widzą,
uszy nie słyszą,
serce nie pyta.

Rozniesmy na (wygodnych) tarczach uśmiechów — bunt [i wojnę.
Niech błogość słodka, błogość bez tęsknot
w progi nasze zawita.

Nie szukajmy za dalekich dróg,
stromych szczytów, mroków niepokoju:
przed ciszą, której służy powszedni trud,
czoła nasze chylą się w znoju.

III

Nieskończoności nikt z nas nie poznał —
wiem, że myśl moja sięgnąć jej nie może:
im wyżej wznosi się, jak dym w obłokach,
w tem niezmierniejszych gubi się przestworzach.

A więc miłością, jak wezbraną rzeką,
płynę w tajemną otchłań gwiezdnych zórz,
aby na zawsze odejść, i daleko,
od dźwięku pustych słów.

Nie to mię smuci, że dziś niewiem nic, —
wieczność do wszystkich kiedyś się przybliży,
i może dzieci przyjdą tu — na szczyt.
Lecz niechaj nigdy wzgórza nie zstąpią do nizin.





EDWARD PORZĄDKOWSKI:
PORTRET EDWARDA KOZIKOWSKIEGO

EDWARD KOZIKOWSKI:

PRZEDWIOŚNIE
BALLADA O DRWALACH
MOŻEŚ WAWRZEK Z GORZENIA...
WYCIECZKA NA LIPOWIEC
Z WADOWIC DO MUCHARZA
SZLAK JANA KAZIMIERZA
CZARTAK
PRZEZ MUCHARZ...
NA PRZEŁĘCZY BABIOGÓRSKIEJ
ZEJŚCIE Z DJABLAKA
TY BĘDZIESZ...

Przedwiośnie

Nie wiem, czy to ruń trawy ujrzałem na zboczu,
skąd jakiś konik polny znienacka wyskoczył,
czy to tylko tęsknota do wiosny i słońca
tym kolorem zadrgała po długich miesiącach.

I ciebie nie pytałem i sam niewiem jeszcze,
bo nagle mnie wspomnieniem powitała przestrzeń,
i jakiś skrawek nieba z poza nagich topól
uwiódł moje spojrzenie dalekością stropu.

Nikt mnie tutaj nie witał, ni oczami szukał,
tylko słońce wyjrzało z poza chmur, jak dukat,
i ten pierwszy pierwiosnek wymarzony we śnie
przystanął na tej dróżce z blaskiem jednocześnie.

Nie zapytam nikogo: ni wiatru, ni ciebie,
bo musiałbym wpierw chmury policzyć na niebie,
a przecie wiem w to jakieś wilgotne przedwiośnie
że ruń trawy, jak echo na powietrzu rośnie.

Ballada o drwalach

Rąbali, strugali od rana nad rzeką
i oczy mrużyli do słońca daleko,
aż kogut, co wyjrzał, jak wiedźma z za płota
zobaczył u skraju drzemiącego kota.

Po kwietnej murawie chodził wilk za drwalem
i dziewkom spotkanym rozdawał korale,
a piła, co jękła w południe dwa razy,
zmęczona robotą stanęła odrazu.

Zaplątał się topór w pętliskach korzeni,
miłosną ochotą do samych trzew przenikł,
aż buchło żywicą
pod samą macicą.

Patrzyli na garnki wiszące na płotach —
z tej gliny najlepszej, a może ze złota,
i tylko niektóry za wierzbą przydrożną
zaczepiał biedronki i pytał, czy można.

Nikt nie chciał im bronić ni krzaku, ni strugi:
stawali przy jednych, kładli się przy drugich,
aż wreszcie zmożeni robotą i głodem,
znaleźli w pobliżu jakowąś gospodę.

Czy chcieli z tych półek sosnowych na zimno,
nie wiedział gospodarz, podając im piwo, —
ba! nawet nie wiedział
ten, co w izbie siedział.

Zrobili niewiele od świtu do zmierzchu:
co grubszą robotę i aby po wierzchu,
i tylko w południe na ostrzu topora
zarżnęli koguta, co piał im z wieczora.

A po zębach piły za dębowym stołem
liczyli zarobek z niemałym mozołem, —
gdy jeden przysięgał na wszystkie świętości,
drugi klął jak tragarz, popijając cości.

Szła wierzba za lipą, jak pies za człowiekiem,
aż wreszcie, gdy przeszły po kładce za rzekę:
ostatniego drwala
zjadł wilk od kowala.

Możeś Wawrzek z Gorzenia...

Możeś Wawrzek z Gorzenia, a może i skądinąd,
wędrujący jak druciarz gościńcem i doliną —
wespół z słońcem — kumotrem, co spuściło się nisko,
niżej niż kiedykolwiek, jak ta głowa nad miską.

Dawnom ciebie nie widział: będzie parę miesięcy,
choć to czasu szmat tyli, ale mogło być więcej;
dość żem ciebie wypatrzył na zakręcie pod lasem,
jakeś sobie przystanął podciągając ten pasek.

Od gościńca, co biegnie równolegle do Skawy,
wszystkie wierzby zaszumią i niektóre z lip nawet,
w tej prostocie pastuszków, która może zawstydzić,
bo takiego spotkania nie widziano w Beskidzie.

Popatrzymy na siebie, jak te słupy na torze —
jeden pozna drugiego i zapyta o Gorzeń,
i w rozmowie przygodnej, jakby nic się nie stało, —
może powie coś więcej, może powie zamało.

Wszystko jedno, czyś Wawrzek i do tego z Gorzenia,
byleś brzęczał, jak komar w pajęczynie marzenia,
i rozstając się ze mną, jak przystało bez słowa,
zcicha tylko pomyślał, że to ledwie połowa.

Wycieczka na Lipowiec

Wyjdziemy na gościniec szeroki w dwóch rzutach,
aby minąć te lipy i nie wrócić tutaj,
gdzie cmentarzysk słowiańskich długie idą linje —
po śladach wydeptanych tysiącem stóp w glinie.

Dopiero w dwie godziny, a może i dłużej —
ujrzymy basztę, której czas nie zdążył zburzyć,
z tych bitych schodząc traktów na piaszczyste zbocza,
gdzie jeno chabry kwitną o niebieskich oczach.

Wspinamy się pod górę po jakichś nasypach,
wzdychając, że ciężarów nie ciągnie ekwipaż,
kryjemy się po lasach spotykanych w drodze,
do których jeszcze żaden nie zajrzał przechodzień.

Aż wreszcie jakiś wielki wał murów wyrasta
za tem miejscem, gdzie z lipą splótł konary kasztan
i po gładkiej pochylni stajemy u bramy,
gdzie pies broni dostępu wskoczywszy na kamień.

Po schodach zapadniętych, po załomach cegły,
wdzieramy się na basztę niedostępną niegdyś,
z której w lochy piwniczne strącano skazańców,
potrząsając nad nimi krzyżem i różańcem.

Może z ciemnej czeluści ktoś na nas zawoła,
bo dwa orły nad basztą zawisną w półkolach,
i walcząc z jakimś wichrem, co nas zmieść chce na dół,
będziemy szukać może urojonych śladów.

I nie wiem, czy znajdziemy, lecz w słonecznej dali
ujrzymy w pewnej chwili blask wiślanej fali
i śladem tych obłoków, co na zachód idą,
dostrzeżemy w mgle pasmo nierówne Beskidu.

I może wiatr ucichnie i spadnie na łąki
z pierwszym lepszym po drodze spotkanym skowronkiem,
by z marzenia, co pierzchnie, jak te orły w chmurach
nie uronić w tej drodze najmniejszego pióra.

Z Wadowic do Mucharza

Tak łatwo wyjść z Wadowic w słoneczne południe,
zaczerpnąwszy w manierkę wody z miejskiej studni
i uśmiechem ostatnim pożegnawszy rynek,
obudzić mocnym krokiem drzemiący gościniec.

Któż zdoła tego traktu wypowiedzieć piękno,
idące z dwóch stron naraz, śladem wszystkich tęsknot,
od których cmentarz jeno w orszaku kasztanów
na wyniosły pagórek zaszedł i przystanął.

Ale i to nie — wszystko, bo na tle błękitu
wyrasta sto drzew naraz i dziesiątek szczytów
i tysiąc chmur wędruje różnemi drogami
w tej wielkiej panoramie otwartej przed nami.

Z tego miejsca jednego można dognać lotem
i pochwycić to słońce za warkocze złote,
aby w drodze powrotnej, co czeka nas jeszcze,
pić radość prosto z serca i poić nią przestrzeń.

Tam dalej — idzie droga równa i szeroka,
w towarzystwie chat jakichś wyrosłych po bokach,
z których każda conajmniej zaprasza do środka,
jakby na nas czekała na tym trakcie spotkań.

Błogosławmy radości wszystkich gospodarzy,
którzy śmieją się do nas pełnią dobrych twarzy, —
błogosławmy tym chatom, co aż tu wybiegły,
aby zajrzeć nam w oczy rumieńcami cegły, —
błogosławmy każdemu, co idzie gościńcem,
bo idzie z dobrem słowem, jak z zbożowym wieńcem.

Ostatni dom nas żegna za jakimś zakrętem,
droga sunie pod lasem w sposób niepojęty,
bo w tym gąszczu drzew różnych, co zeszły się tutaj,
można siebie zagubić, jak melodję w nutach.

Lecz Chrystus Frasobliwy, co przysiadł na lipie,
wyprowadzi nas dalej — prosto na Ponikiew, —
a ptakom, co się zbiegły ze wszystkich bezdroży,
każe śpiewać w tej drodze jeden z hymnów bożych.

Tutaj plant kolejowy miniemy na lewo,
tam—karczmę, co się wsparła zalotnie o drzewo,
kapliczkę jedną, drugą z poza tych zakrętów,
skąd patrzy tak na wszystko niewiadomy święty.

Wreszcie i Gorzeń Górny, a za nim tuż prawie:
Ponikiew, zagrzebana w dolinę Zaskawia.

Tu—potok, jak wiewiórka, skacze po kamieniach
i porusza młyn jakiś kaprysem ramienia,
które spada na koło z niebywałą siłą,
jakby chciało zgruchotać konstrukcji zawiłość.

Na rumiankach, co legły dywanikiem płowym —
poniżej tego traktu, można złożyć głowę,
i słuchać szumu wody i śledzić obłoki,
ścigające się z wiatrem, a może z potokiem.

A gdy wszystko się zmieści w jednej opowieści,
która pozór legendy odnajdzie w beztreści,
trzeba przerwać marzenia, wrócić na gościniec,
i posłać pocałunek ręką tej dolinie.

I znów—wierzby, kasztany i dziesięć zakrętów
i góry, wydźwignięte na kilkaset pięter, —
wreszcie—stary budynek, co w cieniu drzew przysiadł.
To—karczma. Ale jaka?!... To—karczma Urysia...

Wśród tych cegieł śpi jakaś przerwana rozmowa,
i zaklęcie czarownic w dwóch nieledwie słowach,
i coś jeszcze poza tem, o czem się nie mówi,
by Boga nie obrazić i duszy nie zgubić, —
bo podobno czart mieszka w tym przydrożnym dębie,
ale to mówią tylko—tu, w Świnnej Porębie.

Więc dalej, dalej jeszcze—pod ścianą z skał jakichś,
po których sosny chodzą w towarzystwie ptaków,
a każda z takich sosen w pazurach korzeni
trzyma, jak sakwy złota, pięć najmniej kamieni.

I znów plant kolejowy i szeroka Skawa,
która tu dziwne harce po głazach wyprawia

i bije fal pianami i jakąś pieśń miota,
co ginie w tej wiklinie, jak czyjaś tęsknota.

I tak już do Czartaka, w którym śpi historja —
w trzywiekowem istnieniu i arjańskich glorjach.

Tu podobno ktoś miłość zostawił na straży
i serce zamurował w ścianie — za ołtarzem, —
tu podobno ktoś kazał kochać nawet wroga
za cenę wszystkich świętych i jednego Boga, —
tu podobno ktoś mieszka od trzech niemal wieków
i liczy wszystkie fale codziennie nad rzeką.

I tu się rozstajemy z plantem i ze Skawą,
na górze widać kościół: skręcamy na prawo.

Pod górę bitym traktem — piędź po piędzi ziemi, —
wreszcie — w lewo, po drodze zasłanej kamieniem,
i po jakichś wysiłkach, otarłszy pot z czoła,
stajemy razem z słońcem w przedsionku kościoła.

To — Mucharz. Z tego miejsca może nam się uda
kiedyś odkryć, jak karty, nowe jakieś cuda,
ale teraz — czas nagli — pogódźmy się z Bogiem,
co patrzy z wyżyn krzyża, bo tu... koniec drogi.

Szlak Jana Kazimierza

Tędy sobie otwierał jedną z dróg niewielu:
górami, dolinami, które śnieg pobielił,
i wiatr jakimś kaprysem wydmuchał po bokach,
aby droga królewska nie była szeroka.

Tędy szedł albo jechał i dziwił się może,
że go znów na rozstajach witają w pokorze,
i jacyś ludzie palą ogniska na śniegu,
oczekując na króla, co królować nie mógł.

Tędy wracał do Polski, tym właśnie parowem,
co skręca nagle w prawo, jak groźna zapowiedź,
by wdrapać się powoli tą urwistą ścieżką
na sam szczyt, który wyrósł przed nami bez przeszkód.

Może słuchał trzepotu świerkowych gałęzi,
pokumanych z chmurami, drżących na uwięzi,
i może nie chciał wierzyć, zsuwając powieki,
że te drzewa przeżyją jeszcze ze trzy wieki.

Tędy schodził na drogę prosto do Wadowic, —
tutaj wsparł się o drzewo, wysłuchując nowin,
których mnogość nietylko króla mogła zdumieć, —
i stąd patrzył na Beskid w jakowejś zadumie.

Nic więcej tutaj niema, na królewskim szlaku,
po którym gwiazdy chodzą i ciągnie sto ptaków,
bo z tych marzeń dziejowych, którym trudno sprostać,
najdrobniejszy ślad bodaj w kronikach nie został.

Czartak

Na rozjeździe dróg różnych, które djabeł przekopał,
stoi karczma nie — karczma w tych beskidzkich okopach,
gdzie plusk Skawy podmywa rzeczywistość od dołu,
pełen cichych zawodzeń i ornego mozołu.

Nikt w tym domu nie mieszka oprócz jakichś fornali,
którzy może przypadkiem tylko tutaj zostali,
bo kołace się jeszcze wśród mieszkańców wieść głucha,
że czart w karczmie przewodzi zbierającym się duchom.

Może garstka tych arjan chodzi jeszcze bezdrożem
i na szabli drewnianej nosi bukiet słów bożych,
zatrzymując się czasem przed tym mostem ciekawie,
co w dwóch skokach przesadza zawstydzoną czemś
[Skawę

Może szuka w tym domu towarzysza podróży,
który wstąpił na chwilę i zatrzymał się dłużej,
i nie myślał nieborak zamykając powieki,
że w tym domu romańskim prześpi niemal trzy wieki.

Po tych wszystkich tęsknotach i niektórych marzeniach
pozostało coś niecoś w tej absydy sklepieniach,
z której gacek stuletni w jakiejś zmowie z przeszłością
straszy pono po nocach domowników i gości.

I nic więcej pozatem, chyba Skawy plusk żwawy,
co powraca i cichnie i zamiera gdzieś nawet,
i melodją powrotną warkocz marzeń zaplata,
aby przyszłość wiedziała o przepadłych wstecz latach.

Przez Mucharz...

Przez Mucharz ku dolinie idąc Ponikiewskiej
za głosem pluskającej tu i ówdzie Skawy,
poznać można niechcący cały niemal Beskid,
rzadki okaz agatu w słonecznej oprawie.

I doszedłszy do młyna, co huczy i dudni
w promieniu półwiorstowem, a może i dalej,
spojrzeć ukradkiem ledwie w głąb drewnianej studni
i policzyć lat szereg po słojach tych pali.

Bo może przyjdzie zostać w tym cudacznym młynie,
poruszanym fartuchem spadającej rzeki,
rozmyślając po nocach, czy nie był tu winien
twój pierwszy pocałunek dany mi przed wiekiem.

Na przełęczy babiogórskiej

Gdy wichry mnie okrzykną tutaj królem świata,
to echo im odpowie w dalekich zaświatach,
i razem z obłokami, co spadną na oczy,
zatracę się bez śladu w nadchodzącej nocy,
i nie będę już szukał twojego imienia,
bo nareszcie zrozumiem, że go nigdzie niema.

Gdyby ze wszystkich tęsknot puszczonych w niepamięć
choć jedna odwaliła ten mogilny kamień,
i szukając w rozterce po niebieskich szlakach
wzięła za mnie pierwszego spotkanego ptaka,
możebym i uwierzył (o, bajko zawiła!),
że choć cię nie znalazłem, to jednak gdzieś byłaś.

Zejście z Djablaka

Tysiąc wichrów wyskoczy niewiadomo skąd
i runie całą siłą, jak fale na ląd.

Wszystkie chmury się zbiegną, by uderzyć wraz
i z djabelskiej przełęczy na dół zepchnąć nas.

Kamienie się obsuną z pod idących stóp
i ze wszystkich krawędzi powita nas grób.

Jakieś ptaki zaszumią proporcami piór
i zginą w wirze wichrów, pod nawałą chmur.

Nawet słońce tym razem nie spojrzy ku nam,
by zaświecić nam w oczy złotem jakichś plam.

A jednak i z tej matni zatraconych dróg
wyprowadzi nas wszystkich wszechobecny Bóg.

Ty będziesz...

Ty będziesz pewnie pierwszy, a ja może drugi,
choć w tem niema znaczenia, ni żadnej zasługi,
i tylko ta gałązka załka zatroskana,
że znów dwoje odjęto od samego rana.

Długo będziem się ważyć na porannym wietrze,
zanim razem z innymi polecimy w przestrzeń,
jak pisklęta puszczone niejako z uwięzi
wraz z ostatniem spojrzeniem tej matki — gałęzi.

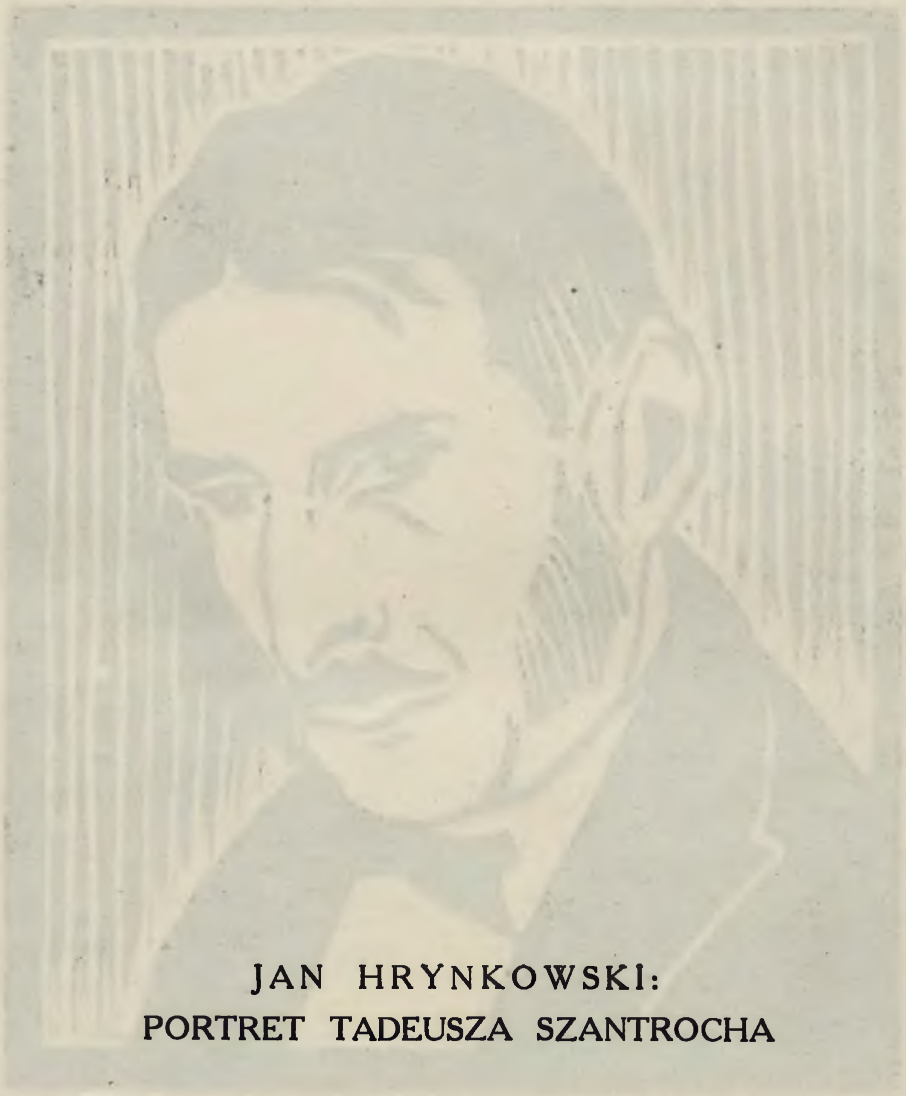
Wreszcie jak ten latawiec przez miedze i pola,
pobiegniemy naprzełaj w tysiącznych półkolach,
to z góry na pazury, to przez rów głęboki,
gdzie wody w te zawody biegną w świat szeroki.

Będzie słońce wyzłacać nam poniekąd drogę —
między jednem westchnieniem pastuszka a Bogiem, —
będą wierzby gaworzyć od czasu do czasu
aż poza ten gościniec, do samego lasu.

U skraju tego boru, gdzie podobno straszy,
będzie koniec wędrówki i kres drogi naszej,
i tylko świerki stare gałęzi trzepotem
jakieś igły uronią jak przez łzy tęsknotę.

Legniemy nawznak może w tym zacisznym lesie
i żaden wiatr — pędziwiatr już nas nie poniesie,
tylko ten szron ponocny zlekka nas wypoci
na wiosenną podściółkę dla mchów i paproci.





JAN HRYNKOWSKI:
PORTRET TADEUSZA SZANTROCHA

TADEUSZ SZANTROCH:

DROGA
KRAJOBRAZ MUZYCZNY W BESKIDZIE
ROMANS W GÓRACH
BUKI NA LESKOWCU
ŚWIĘTY WOJCIECH W MUCHARZU
SYN MARNOTRAWNY
WIECZÓR POD BABIĄ GÓRĄ

Droga

Jej tor i wykres śród przestrzeni,
deptany wciąż tysiącem stóp...
jej stąd i dotąd śród kamieni
bielonych... i mijany kilometrów słup!...

O nudo drogi tej w pamięci,
gdy w drogę mam się właśnie brać!
Więc najpierw witam was o biedni święci,
którym kazano przy tej drodze stać...

Tymczasem ledwo zniknął dom ostatni,
wetknięty krzywo w pól zamgloną dal,
mur jakiś biały mnie przyzywa bratni
jakby ostatni brzeg najdalszych fal,
a z uchylonych wrót widną aleją
śród listopadu bezimiennych drzew,
szedłbym ku górze gdzieś, pnąc się z nadzieją,
że tam odpocznę jak strudzony lew
w słońcu... to cmentarz.

Lecz już na prawo tu, to tam
w grzebieniach gór się widzę sam
w zbójeckim czasie średniowiecza
panem tych włości prawem miecza

i po gór onych schodząc zboczy,
kąpię w dolinach bystre oczy...

Zwolna przy drogi tym zakręcie,
co wchodząc w las pod zachód słońca
w drzew nachyleniu, w leśnym smęcie
staje się rzewna, miłująca
nię sam już idę... idziesz ze mną...
...pierwsza miłości mej przechadzka...
dwoje nas tylko... las... tak ciemno,
czasem upadnie liść znienacka...
w milczeniu patrzym w lasu głębie
nie potrzebując słów, ni gestu,
siadamy gdzieś na mchowym zrębie
i ręce nasze bez szelestu
w zachwytu się splatają ciszę...
Czy słyszysz?... Serce? Ja twe słyszę.

Wtem nagle zakręt ciasny... tutaj
wędrowcze krok i serce utaj!
Zasadzka... zbrodnia... ktoś cię chwyta
za gardło... wlecze... krzyk... bandyta...
Uchodźmy... prędko... krok się miesza,
przestrasza drzew tych czarnych rzesza
i krzyż złamany u rozstaja...
Nareszcie! Krok się uspokaja.

I nagle oto wprost, odrazu
jasna dalekość krajobrazu,

otwartość wielka i szeroka,
spokojny dołem szum potoka...
i jakby szło nas teraz wielu
druhów serdecznych, towarzyszy,
ot, wędrujących w świat bez celu,
wybucha głośna pieśń i młoda
i wszystko śpiewa ją i słyszy
i świat i niebo, las i woda,
aż ją w najdalsze dale poda...
Druhowie! popas tu... gospoda!

I tak przeszedłem ją, tę drogę,
której się bałem w nudy trudzie...
i zawsze, wszędzie iść tak mogę.
Przydrożnych świętych wielki cudzie!

Krajobraz muzyczny w Beskidzie

Linjami miedz, po grzbietach wzgórz,
przez pól klawisze,
szeptany wiew, dech traw i zbóż
przemyka się, kołysze,
aż rośnie w pieśń szerokim tchem
rozlaną na wyżynie
i trwa już niecichnącem tłem
melodji, co z gór rzeką płynie.

Jej pierwszy dźwięk
w kaskadach pękł,
w kapryśny się zatoczył smęt
półkolem wabień na dolinie...
aż w nagły skręt
melodja rzeki się wywinie,
zapieni się popluskiem fal
na prądzie roześmiana...
i ścichnie w dal
we mgle,
jak w śnie
śpiewana.

A ku niej, z nią
czyżby w sprzeciwie?
gościńcem białym w trąby dmą,

drga stukot koni niecierpliwie
i wprost
na most
galopem gna
gościńca pościg: tra ta ta ta ta ta ta...

Tu mruknął czarnych akord drzew,
tam znów topoli krzyk wystrzela...
w pościgu cwałem poprzez wieś
hej... hej... tu nagły zgiełk wesela...
lecz dalej, wskok,
nim zajdzie mrok,
nim noc gonitwy ślad omyli...
tuż, tuż... dopadnie w jednej chwili!...

Lecz już od gór, w organach chmur,
nad czarnych lasów wpoprzek wałem
grzmi groźny chór odwieczny wtór
twardym jak los finałem.

Romans w górach

Z Mucharskiej góry pod lasem patrzę się na świat
[leniwie
co jakby na szkle w powietrzu naiwnie jest malowany,
gdzie wszystko naraz sie tłoczy w spojrzenia barwnym
[podziwie:
więc rzeka, góra i zamek, gościniec, las, pola i łany.

Maleńkie domki w zieleni i kościół z wieżą pochyłą,
którą ten storczyk koło mnie przerasta dziwnie wysoki...
wszystko to jakby się w bajce dziecinnej tak ustawiło,
jak wędrujące po niebie białe, pocieszne obłoki.

Lecz oto... (czyliż nie bajka?) siebie tam widzę na
[drodze,
gdzie tysiącletnia topola i Czartak w znanym profilu,
jak do nieznanej mi pani idącej właśnie podchodzę,
by ją powitać nareszcie po latach tęsknoty tylu.

Jakiż cudowny przypadek! Tak zawsze romans się
[wszczyna.
Nie mamy żadnych tajemnic prócz jednej: tego spotkania
i to jest nasza jedynie, nas dwojga cała kraina,
co się przed nami wszędzie i tak rozkosznie odsłania.

Zapachem czystej wilgoci Skawa w wiklinach ukryta
wabi ku chłodnej kąpieli w skalnym załomie pod lasem
i wpierw, nim próżna obłuda o zgodę słowem zapyta,
my już w nagości radosnej w nurt jej skaczemy tym-
[czasem.

W łyskliwej fali rozpryski śmiech nasz się rzuca jak mewa,
a w ciałach naszych świetliście w słońcu błyszczących
[i w wodzie
odżyli pełnią swobody pierwotnej Adam i Ewa
i jako ptacy w powietrzu ludźmiśmy znowu w przyrodzie.

A potem z trzodą pstrokatą wracamy z pastwisk ku
[wiosce
i wołań mocnych pokrzykiem leśne mylimy znów echa
w jakiejś pogodnej, a pewnej dnia jutrzejszego beztrosce,
co się już zorzą rumianą do nas łagodnie uśmiecha.

A kiedy księżyc jak talerz biały na niebie się jawi
i gwiazd — baletnic dziecinna zaczyna się pantomina,
wsłuchani w świerszczy kantyczki, w senne skrzypienie
[żórawi
idziemy w góry srebrzyste, nim mgła przesłoni je sina.

Tam, poprzez lasy ogromne przeszedłszy, stajemy sami
na tej przełęczy, ku gwiazdom schylonej szerokim
[wschodem,
dalej idący, gdzieś w przestwór, nad światem całym,
[nad mgłami,
unosząc kędyś wspomnienie o szczęściu wieczyście młodem.

Buki na Leskowcu

Cześć wam bracia! Wytrwaliście tu na pozycji
jak czworobok Cambronne'a w bitwie Waterloo...
w bliznach wszyscy, koślaki, starej gwardji czoło,
co tę walkę podjęła na śmierć bez kondycyj.

Iluż wichur nawały o pierś waszą biły
w rozhukanym ataku chmur pędzące stada,
a gdy przemoc ich czezła, wilczym głosem wyły
w salwach gromów ból dławiąc, co bezsilnie pada.

Cześć wam bracia, rycerze na beskidzkiej górze, —
tym pniom waszym, sękatym piersiom bez zalęku,
co w największe jednako się wpierały burze
a blizn chwałę zaszczytną w każdym noszą sęku.

Bezramienne kaleki! potyrane czoła!
Nie wam spocząć! Już czarny zmierzch w dolinach knuje
nowej burzy szturm walny. Nikt was nie odwoła
z raz oddanej pozycji i nikt nie współczuje.

Lecz jedyne wam słowo — parol swój wyznaję
bracia buki beskidzkie: w jednym my szeregu,
który ziemi zdobytej raz — już nie oddaje
choćby ziemią tą było pogranicze śniegu!

Święty Wojciech w Mucharzu

Tutaj kazał pod lipą, co pogańską została.
Z Węgier przyszedł. Las czarny szumiał wtedy dokoła.
Kazał rzeszy a rzesza jego mowy słuchała
i wierzyła miłości, co szła z sioła do sioła.

Dziś tu kościół czerwony i blaszane wieżyce
i świętego w kamieniu postać jawnie schylona...
ale tylko w widoku stąd po nieba granice
szlak legendy odnajdziesz, co w dzisiejszym dniu kona.

Przemienione postacie, skrzyżowane zagony,
jakieś drogi, biegnące naokoło — do świata
i te chaty bielone i ten kościół czerwony,
a nad wszystkiem dalekość, co z legendą się brata.

I pierwotność baśniowa w krajobrazie niestarta,
na przełęczach do skoku zbójeckiego gotowa,
a w przymierzu z świętymi, przez sto biesów i czarta
czasom ludzkim naprzekór po staremu się chowa.

Syn marnotrawny

Z gór wędrując w dolinę zszedł. Noc świat już objęła.
W mgle pośpionej wsi chaty szron ubielił księżyca.
Zapatrzony w nią niby w zmarłą, jako usnęła,
jakże bliskim się naraz poczuł swego rodzica!

Jakby wczoraj stąd odszedł, nie uszedłszy daleko
i powraca dziś znowu po dziedzictwo ojcowe,
w którem czas nic nie zmienił, pod tym lasem, nad rzeką
takie samo jak było, jasne, ciche, piastowe.

Psy, wędrowca poczuwszy poczną szczekać żałośnie,
stróże praw na łańcuchach, trzód bywali pasterze...
więc mu serce wzruszeniem nagłem w piersiach urośnie,
że ostało się ludzkie, dawne z niemi przymierze.

I obaczy się naraz w starej z przed lat zagrodzie,
jako ładzi drewniane, gospodarskie narzędzie
i rozpozna się w chacie, w polu, szczęściu i w szkodzie
takim samym, jak byli ojce, zawsze i wszędzie.

Wieczór pod Babią Górą

Babiej Góry majestat cichy w skalnym ogromie,
jak Bóg bliski przyjaźnie i jak Bóg sam daleki,
czarne świerki na zboczach, jak chorągwie w pogromie
nad ucieczką w przestrachu bełkocącej coś rzeki.

Rośna cisza na ziemi, gwiazd śledząca milczenie,
jakby świata teatrum tutaj począć się miało...
i chór świerszczów w przygrywce wielkiej pustce na scenie
zanim ozwie się słowo — pierwsze słowo — duch — ciało

W chciwem zmysłów napięciu drży niepewność zwierzęca
i podpatrzeć chce losów jeden grymas naocznie,
co się nad nią od wieków tajemniczo wciąż znęca...
świerszczy przyśpiew to milknie, to odnowa się pocznie,





JERZY HULEWICZ:
PORTRET EMILA ZEGADŁOWICZA

EMIL ZEGADŁOWICZ:

HYMN REPUBLIKI GÓRSKIEJ
WALETA BESKIDZKA ARJAN
BALLADA O NAWIEDZENIU MIŁOSNEM

Hymn Republiki Górskiej

ognisty świt wierzchoły gór roznieca —
— na morzu mgieł ogromne łodzie róż —
wolności gród i serc naszych forteca
— falista pieśń rosnących z dolin wzgórz —

skrętami miedz pośród wądolnych złogów
niesie się śpiew: miłosny wielki cud —
to dobra wieść beskidzkich powsinogów —
wędrówki cel: niesobnej pracy trud —

swobodna brać u gór wieczystych stanic
stanęlim tu — i pójdziem dalej — wzwyż —
— ojczyzną serc — republika bez granic — ! —
— graniczny słup to chrystusowy krzyż —

w obronie tych rozkrzyżowanych ramion —
pobudki głos —: radośnie, bracie, cierp —
bo oto głóg z męczeńskich wykwitł znamion —
czerwony głóg: to ryngraf nasz i herb —

—słońce—!—czuj duch—!!—modlitwa—chodźmy dalej—
...spojrzenie w dół... nie idziesz —?! —ostań zdrów—!—
—a tedy spójrz—: zanim się dzień wypali
ożyje szczyt sztandarem naszych snów —

Waleta beskidzka arjan

— zanim słońce zapadnie — wcześniej niż w dolinie —
za ten wał gór, co falą zda się morską płynie —

zanim gwiazdy zaświecą zpoza chmur obrębu —
pożegnajmy tę ziemię u stóp tego dębu,

gdzie zakopany leży żołnierski sprzęt w ciszy
— jeno echo grobowe chrzęst szabel usłyszy —

— drewniane klingi nasze — w kształt krzyża głowice
— nie do zabójstw stworzone są nasze prawice —

delije nasze z wora grubym szyte ściegiem
— życie jest niewygodnym, najemnym noclegiem —

nie na tym świecie król nasz — ojczyzną obczyzna
— jednako będzie sercom obca i nieżyzna —

szyd działem naszym,wyśmiew i prześladowanie —
my jedyni i z tęsknot i z snów chrześcijanie —

próżno siejemy miłość — nienawiść wyrasta,
jak czarna wieża kaźni z ukrytego miasta —

i jedno tu w tej górskiej rzeczypospolitej
zjarzyły się, jak wici, Dobrej Wieści świty,

tu spotkaliśmy znagła idącą przez miedzę
siermiężną, powsinożną, nieuczoną wiedzę —

wygnańców, którym pyły przekrwiły powieki,
przyjęto dobrem słowem: „Bóg po wszystkie wieki“ —

na nieheblonym stole stawiono gar mleka
i chleb razowy, mówiąc: „idziecie zdaleka“ —

i wiecej nic, krom: „pijcie i jedzcie dowoli“ —
— dobrze — ! — słowo niebaczne, jak ostrze, zaboli —

ktoś zacz — nie pytał nikt —; — poprostu: ludzie!
ludzie, jak wy, znużeni w tym życiowym trudzie —

ktoś zacz — ? — i kto cię rodzi — ? — krzyżowi nędzarze
przynosimy opłatek serca w zgodnym darze —

— i brali serca nasze, jak chleby razowe —
daliśmy Bogu jedną, im drugą połowę —

— odpoczęliśmy; — bracia, żegnajcie — ! — to słowo:
Miłość ostawujemy — z serc skwitnie nanowo —

pójdziemy dalej — ! — góry sięgające Boga,
z was wiedzie w wolność miłującą droga — ! —

góry — kościoła ziemi wielkie fundamenty —
echem jesteście pieśni, jak Bóg, niepojętej —

— a po nas — kędy Skawa obmywa gór stopy,
ostaną z snów i tęsknot obronne okopy —

idziemy w obcość—!—vale—!—ni gorzej, ni lepiej —
taki już los, że serce samo siebie krzepi —

jeno tobie — ty ziemio beskidzka — w walecie
testujemy odwieczną wieść o Paraklecie —

Ballada o nawiedzeniu miłosnem w owo rano słoneczne zejścia Syna Człowieczego

— tak wybiła godzina oczekiwana w tęsknocie
rozdzwoniła się w serca już przenajświętszem złocie —
rozdzwoniła się w rosie po łęgach się poniosła
ponad góry lesiste ponad chmury wyrosła —
uderzyła o gwiazdy — uderzyła o słońca
i we wszechświat się wzbiła—tam — bez końca, bez
[końca —
— a tu drogą beskidzką śród wierzb i topoli
idzie, idzie to śnienie co ludzkość wyzwoli —
— a tu drogą beskidzką wzdłuż fos i potoków
idzie dobra nowina w przyraźności kroków
miłościwych —
— — — —
— — —
— —
—

— Okruta ostał w lesie — on zwidziarz tej chwili—
co sie śnim potem stało różnie ta mówili —
czy wrós w las czy las w niego—czy spłonył w radości
jak ten krzak jałowcowy — w pożarze miłości —
mówili różnie — lecz sie ta i zatraciło
to imię w czasie, który szed z kładnącą siłą
jak wiatr mierzwiący zboża nawrotem pokotem —
— bił w serca dźwięczny śpiż ten czas stalowym młotem—

— spełnił swe posłannictwo Okruta chwalebnie —
ostał w dali jak pogłos rozgrany podniebnie —
ostał w bliży jak pamięć o szczęściu mówiąca
rozgłośna wraz ukryta, dobra, miłująca —
— i tak cale nie umar, a żył każdym rokiem
coraz więcej — i żywy — płynął tym potokiem
co wiecznie się odradza i niesie ku morzu
pieśń radosną — a nato — aby zaś w przestworzu
słońcem spity się rozdać i deszczem skroplony
nasycić źródeł swoich przebożone strony —
a chociaż-ta milczenie dobrych złych jednaką
nakryje płachtą — to nic — wszak znaczone ptakom
jedno prawo: wyraju, jako i duchowi
ludzkiemu powrót: do Boga —
a miłość i ofiara przetrwa wszystkie wieki
wszystkie ziemie i słońca i bezkres daleki —
i wpłynie w wieczność, w przestrzeń—nadzieją bezcenna—
wieczna jak BÓG bezczaśny, jak ON bezprzestrzenna—
— — —

— —

—

zagoniły się pola zielną oziminą
poprzegradzane w bróździach przetainą siną —
— wczesna ciepłość wiatrowa pozbierała mrozy
i wygnała na północ — — skoraliła łozy,
wierzbom w głowy nagnała krwie i szalenizny —
— snuł się zapach żywiczny — jedle goją blizny —
mglą się pod słońce blado bieliste brzeziny
stojące nad wodami w zaroślach wikliny

którym śnią się już pieśni linione z gałęzi —
— ej rwią się śpiewki rwią się z miazgowej uwięzi —
pachnie ziemia listowiem i sobą i sobą
zapłodnienia czekając — już — doraźną dobą —
przeciąga się jak dziewka lubości podana
pragnieniu, miłowaniu — ejze juz! — ej dana — ! —
a jakby jej posłanie przyładził kto — ziele
podbiałowe przy drogach żółtością się ściele,
pierwioski się hań złocą po wzgórzach lękliwie
prostują się miodunki na nowym podziwie —
a niezapominajki brzeg modrzą ruczajom
jak te oczy tych dzieci co się zrodzić mają —
— idzie, przedwiośnie śpiewne, strój ziemi odmienia
tkany z wiatru i woni, ciepła i promienia —
— ej — wiesna —
już tam na widnokręgu nieboskłon się cudni
już kasik hań po chmurach krok kwiatowy dudni—
wraz świeczniki kasztanów zaśklą się migliwie —
rozwieśnią się wraz sady: nowe dziwo w dziwie —
— ej wiesna —
— — — — — —
— zbierają se kwietuski z gór schodzący w doły
przed Chrystusem idący bracia-apostoły —
Wowro tu tam przystaje u schodu pagórka
pokazuje na lipe: — bełaby figurka —
zdatny, psiokoś, i hruby — bracia niebożątka
kieby był nas trom zaroz wystrugołbyk świątka
Jana Nepomucego abo i Krzciciela —
znam różne i rozmajte — panie święty — wiela

zdolem — cejco — bo to tak: ino se uźroce
cosik we łbie — strugołbyk bez dnie i bez noce —
az mi sie zpod palicy z pnioka lipiatego
narodzi wizerunek kcianego świętego —
straśnie to lubie —
— zasłysoł to Panjezus i pado z rozśmianiem:
dejze ty Wowro spokój z tym ciągłym struganiem —
uspokój sie wnet bedzies rzezoł w ludzkich dusach,
a to ci bedzie cięzyj — bo to w tyk przygłusach
nieobrobnych wiekują — na ugorach — przecie
trza rzezać — natok tu jest na tym świecie
i wy to samo — cięsko cekoci nos praca —
ej plujcie w gorść — tą kwilą dróga sie przykraca —
— — zasłuchali sie w smęcie — a stary Tumulik
wbił w rozmokniętą ziemie nierozstajny kulik,
zdjon kapelus i rzece: — no to bemy robić
no to cos —! — kie mus taki — bemy sie sposobić,
kieś juz Ty Panie Jezu, przysed na ten padół,
to przecie nos wybrołeś, a nie trzodą gadół —
bemy robić, co kozes i jak kozes, Panie —
wros tu zbiere materjoł i wros tu piec stanie —
a Ty ku niemu duchnies, Panie Jezu Święty,
i bedzie sie grzoł w ogniu kozdy przemarznięty —
—„— dobrze mówi" — przykwolił druciarz-kuternoga —
— „podrutujemy serca" — „bedzie równo droga",
wchrypił wros kamieniotłuk — „jo Ci jom wymosce
wyboistą zasypie, skrzywioną wyprosce" —
— „a jo poskle ka potrza — rzek śklorz — niek na
śklą sie syby, a jasnoś niekze bedzie wewnątrz [zewnątrz

po izbach — bedzie raźnij —
— sadownik tymczasem
przystanął nieruchomie pod rzednącym lasem,
patrzał bystro w dolinę — oczy na wywiady
posłał poza opłocia, kędy stoją sady —
a choć się jeszcze kwiaty nie motylą nika,
on przeziera ich serca, popod korę wnika —
widzi krążące soki — słyszy poszum liści
nienarodzonych — owoc, co się we śnie iści
dotyka prawie ręką—głowę na bok kłoni:
— „bedzie urodzoj latoś — zwłosca lo jabłoni —
choć to i śliwy rodne — ino gruski to nie“ —
wymamroł i na piersi złożył chude dłonie —
— „jabka będą—padocie —?— mówi Jan Zawada,
co sie to z Kicecoków pise — „straśnie rada
dusa moja, kiedy tak w wion zźrają cyrwony,
to tak, nieprzymierzając, jak moje balony,
cok je wte — haj — nosowoł“ —
— „ej hudobni śniarze,
— no dobra, dobra – rzec w tem, by sie rozdać w darze
wszyśkim porówno — mówi Pan — — jeden po drugim
okfiarujecie prace na dniu nieprzydługim —
od dziś tak mocie okfiarować miłoś,
aby sie wyproscała cłowieca zawiłoś —
sercem serca trza ucyć — kto sie nie miłuje,
to jokby nie zył — toćze znocie te szczezuje
w nasyk wodach — zamknione: to som serca włośnie,
trza je odmykać, kormić — — przeto dziś o wiośnie,

kie to łocwij jest dotrzyć za nadre, ka bije
serce żwawij — idziemy — niek nie cko nicyje" —

—

schodzom wroz

—

schodzili ku dolinie z wyźni olesionej,
skąd szły drogi chodowe na rozmajte strony —
na lewo przez Porębe ku nowotarszczyźnie —
na prawo zaś ku Bystrej ka Beskidy wyżnie —
wzieni sie nawprost — bo tak w serca jest naturze,
że musi iść przed siebie ino i — ku górze —
— a tu właśnie poza tą, co iść chcą doliną,
góra włazi na górę z robotą przysiną,
przymodrzałą, groniatą: Grodzisko, Iłowiec,
Łysagóra, Bliźnięta, Skolce i Leskowiec,
ano Gancarz i owa w czepcu urodzona
Babiagóra rej wodzi — istna dziwożona
tych szczytów porośniętych smrekiem i sośniną,
jedlą, modrzejem, bukiem i hrubą dębiną —

—

— beskidzki lesie Boga wydeptany krokiem,
pełen pieśni widzialnych i sercem i okiem,
melodyjnych kolorów rozśpiewany wonią,
rozsiadły nad wiecznością, jak nad jezior tonią —
— beskidzki lesie górą ku gwiazdom wonący
dołem człowieczą dolę snem ochraniający,
snem o tem, że jest dobrze: gdzie mech za posłanie,
a w przychylni gałęźnej wielkie miłowanie

rodzi się: miłowanie wszystkich,
: miłowanie wszystkiego —
— beskidzki lesie — w drzewach twoich serce dzwoni,
— beskidzki lesie — głusz twa przed rozpaczą chroni,
— beskidzki lesie — święty przed sobą i Bogiem,
— beskidzki lesie — tyś jest ku wieczności progiem —
—
zeszedł Chrystus upłazkiem ze swoją gromadką
i rzecze: „— trza się nojpierw iść zobacyć z matką —
ka sie wom zdarzy myśleć o ziemskiej świętości,
pierso rzec wnieście serce ku onej miłości
matcynego kochanio — bo ta i na świecie
niewiela tego dobra — sami o tem wiecie —
a nowiękse bezmała po widzeniu Boga
jest — przyść z dali i usionść wedle matki proga —
na kolanach sklękanych złozyć cięską głowe
i wsłuchać sie w te wielgą niemówioną mowe
— co idzie od zapachu ziemi, ziół i kwiatów,
nasycono jasnością — tak bliskich zaświatów —
— co idzie od obory i od oziminy
potrząco okiem dziecka — jak dziecko bez winy —
— co idzie od tej strzechy dymem przysmolonej
i upodo w łzie nagłej, niespodzionej, słonej —
— co idzie od pól, lasu — tam — od widnokręgu
bosiato, cichostopno — — az w nagłym zeprzęgu
zsiostrzy sie z mową dłoni, co sie tak po tworzy
trzęsąco pomykają — az — —: juz nigdy gorzy
nie bedzie —!— juz wies święcie — —: ino lepi, lepi —
bo cie ta pieś dłoniato na zycie wykrzepi —

— wysedek było — downo! — za ten ojców próg,
– przemierzyłek bezliku róznorakich dróg,
-- dziś ku ofierze ide — lec nie roz, nie dwa,
otucha na me serce od tyk myśli sła,
które tam matka moja słała mi i śle
z tego domu biołego na zielonym tle —
i gdyby nie jej miłoś, kto to wi, kto wi,
byłyby moze cięsse noce, cięsse dni —
mozebym ni mioł w duchu tela sił,
zebym ten wion cierniowy sobie wił —
— — poćmy do nij —
— i pośli —
— — — —

— na skraju wsi, za mostem drewnianym, przy mycie,
ja ta kto zapamięto — siedzioł — całe życie —
stary Szymon Koślawiec bezma łokcia wzrostu
— kaleka — tak mówiący — garbaty — poprostu —
siwy, skurcony w sobie — cyrwone powieki
mrużący cięgiem jakby od słonecznej spieki,
łysy, z szuwarem włosów kole wpadłych skroni —
taki dziś, jak i wcoraj — w tym roku, jak łoni —
siedzioł żebrzący grose i końdusek chleba
wymodlący, co kady i komu potrzeba —
— przy nim pies, kiesik corny, a dzisiok leniaty,
kaprawy, wele ciuki brzyćko parsywiaty —
lezoł przy szymonowych nóg sinej bosiżnie,
lecząc tam w słońcu serce człowiecemu bliźnie —
rozporoz mdłym kłapnięciem odganiowoł muchy,
które mu obsiodały kark, ogon i słuchy —

a jak kto przechodzący gros do kapelusa
pobok ustawionego rzucił (— dobro dusa —)
przysiadoł wroz na zadzie i warowoł zmyśnie,
czekając cy i jemu chleba tez nie ciśnie —
a mioł ten wiernek ślepia juz takie prośliwe
i takie jakieś ludzkie, załzione a siwe,
ze poniektóry obcy litości folgowoł
i prędzy chleba rzucił a grose zachowoł —
— tak tam razem przy drodze dziadowali oba
wzrośnięci wroz przez życie do spólnego groba —
—
ranek był — ale Szymon na swoim kamieniu
juz siod i morz w powiatrem podszytym odzieniu —
morz Szymon — pies tosamo — trząs sie nieborocek
jak ten na skraju lasu osikowy krzocek —
...zdrowaś Marjo... na wieki!... ludzie miłosierni
wspomosciez niescęsnego... o ludkowie wierni...
...ojce nas...
...aż tu znagła —
— łzami mgławe ocy
przymknon — i wtedy dojrzoł —!— Jezu —! — wtos to krocy
— zaś spojrzoł — wstrząs sie — i krzyknył dudniato:
kwała ziemi i słońcu — kwała wszyśkim świątom —
wselki duch Pana kwoli — a mnie światłoś dano,
dziadowi, dychawicy — Pana wielbić rano —
o ręce me trzęsące — o łocy me stare —
— wiedziołek, ze Ty przydzies — dziś widze mą wiare
w ciele Twym nadchodzącą — miłościwy Panie,
weź mie ku kwale Twoji — bo moje cekanie

dokonane — Ty jezdeś, co świat sercem zbawiś —
Ty krzywizny wyprościs, niecności poprawis —
Tyś jest biedok-królewic, co wszelkij chudobie
podos w błogosławieństwie krwawe dłonie obie —
Tyś jest, o którym pieśni godały i baśnie:
„ckoj, cłowieku cierpliwy, joć mroki rozjaśnie"
i juz sie jasnoś robi — — Tyś jest ziemi wiesną,
rozkwitającą znagła miłością bolesną —
— jaz tchu brak — tchu — — widziały juz łocy, widziały
i serce uwidziało — —
— — a Jezus nieśmiały
i cichy — nadszed bliżej i rzek: „— wstań, Szymonie,
juzem sie całym sobą pchnył ku twoji stronie —
twój jezdek i psa twego i wszyśkich co biedni
mieli mie w sercu swoim niewiedno niewiedni,
a toćze przecie wszyścy — w tyj świata udręce
ktoz rzec moze prowdziwie: jo nie zyje w męce — —
cy ten co dobra wielgie mo — cy zyje w rowie —
roz chocioz w zyciu wie, ze ino w bożym SŁOWIE
scęście ostatnie, dobro — a nie w chlebie ino —
— omamieniem, ludzie, zyjecie — a nie winą —
bo winy nima — tylko głuchoś i ślepota,
lenistwo, bezrobota, bezprowda, głupota — —
— bracie — cekołeś — docko kto wierząco ceko —
wszelko radoś jest blisko — a nie kaś daleko —
ułapić ino trza — i kcieć: to serca bicie
w którem sie ponad ziemskiem inkse jawi zycie —
— cnota jest ino jedna: w wyprawy sie wznosić,
światła nie kryć pod korcem, prowde zawse głosić —

— poć — dej ręke — wstań Śymek — pódźiemy se razem —
jednom drógom pódziemy za jednym rozkazem — —"
— — wstoł Szymon cale silny i w te Boże ślady
wydeptane w gościńcu szed na sercu blady
i wroz świetlisty —
— — podnius sie i pies wierny — już w ślepiach wieśniaty —
— tak ta juz pódą razem w światy i zaświaty —
— — —

— —

—

w kępach drzew bezliściastych w zieli przyubogiej
po obu stronach niebem wymodrzonej drogi
blescyła się wieś w słońcu białemi ścianami
i śkliła wymytemi szybami oknami --
— ka ta — fuksja cyrwono, cyrwieńso begonjo
bez śkło cyste zapachem przywidzianym wonio —
— ka ta — firanki małe jak sieć pajęczyny
mówią o zabiegłości krzątliwej dziewczyny —
— ką ta — pląto sie wszyśko kole swej chudoby
medytując co, gdzie, jak — na różne sposoby —
— poniektóra wzdłuż płota wedle małej łąki
rozciągo od jabłoni do śliwy postronki —
wieso pranie w widoku przybliskiej niedzieli —
niek se sknie na wiaterku, niek sie słońcem bieli —
— ka ta — po zimie dymnej szofy i komody
wynosują i myją na świeże urody
ługiem, sodą i wrzątkiem, ryżowemi szczotki —
tu i tam postukują sprawiające młctki —

— pierzyny i poduszki wietrzą się pod strzechą
napchane i pierzate — gospodyń pociechą
są i dumą —
— na płotach cebrzyki i garce,
putnie i sprzęty drzewne zdatne w gospodarce
bielą się i czerwienią denkiem i polewą —
— tu i tam cień ruchliwy rzuca na nie drzewo
wszelakie: śliwa, kasztan, lipa, orzech włoski — —
— pod dachem na drabinkach ocipki i trzoski
suszą sie zgodnie — czasem oczom się nawinie
bury nawiąz badyli w złotej grochowinie —
— strzechy wszystkie słomiane — mchów kępki zielone
mają jè i blaszanią pod słoneczną stronę —
— kole chałup w ogródkach ka się ino nada
w opłociu chabaziowym włosi się rozsada
kapuściana, nakryta by nie psuły ptaki
nie mierzwiły gołębie — przy kapuście kwaki,
a pod płotem wonieje ziół nieco w przycieniu
sposobnych przy chorobach i krów ocieleniu:
piołun się w bożym drzewku, ruta w ślazie plące
przyschnięte zeszłolistne lecz już wieśniejące —
— kury kuse, czubate kręcą się — na przedzie
kogut krasy powoli a w pole je wiedzie —
płoni się grzebień krwawy jak sztandar cechowy
z dwoma stułami płatów wiszących u głowy —
a jakoby buńczukiem piórami ogona
wskazuje która w pokarm najplenniejsza strona —
i tak wiedzie procesję gdaczą gadatliwą
drogą spłókaną deszczem modratą i siwą —

kwaczą kaczki, gęgają gęsi a gęsiory
syczą węsząc nieprzyjaźń w obrębie obory —
psy warują przy budach w półsennem uśpieniu
śnią bezdrożne swobody w chałp wiążącym cieniu —
— a tam dalej na polach skrzypią lśniące pługi
orzące skład wystały wąski ale długi —
kładą się skiby tłuste jak karki wołowe
te od środka na lewą te w prawą połowę —
— a tam na bronowiźnie bezpyrznej i miałkiej
idzie siejbiarz — razporaz z czerwonej kobiałki
nabiera ziarn i rzuca miarowy, ostrożny —
złoci się deszcz ziarnisty jego dłoni zbożnej —
— za pługiem popielate jak popiół i sadze
kroczą wrony i kawki w uważnej powadze —
dziś pomocnie przychylne niezłowróżbne znaki
zbierają pod grudami glisty i pędraki —
— nad siejącym gołębi srebrzy się gromada
to wlatuje ku górze, to jak śnieg opada —
— konie, chomonta, pługi, brony, skiby, ludzie
śpiewają pieśń o Pracy zwycięskiej i trudzie —
niezmienną jak pokoleń odrodzenie wieczne
wiarą jakiegoś celu uparte, bezpieczne —
— — jak dzwon — ziemię: swe serce miłujące, drżące —
nakrywa wieś firmament płomienny, jak słońce,
co jeno jest ogniskiem — iskrą w tej pożodze
rozpalonej na niebie, roli, rzece, drodze —
— — —
— —
—

i tak w tę wieś ruchliwą, zajętą, nagrzaną,
wiód rzeszę powsinogów Chrystus w ono rano —
a znać tajemna przemoc kryła się w ich dziele,
bo znagła wielka cisza spadła — jak w kościele
po podniesieniu — wszyscy, ka byli tam, stają
w czekaniu nieruchomem — a psy nie szczekają —
a kogut zarwał pianie — w skrzydła na półwzlocie
zatrzepotał i zastygł na wierzbowym płocie —
a dzieci zaprzestały wrzawy i gry w plika —
— w wszystko — w wszystkich ten zamilk znaglony prze-
— — a Chrystus ku tej chałpie, ka siadają sroki [nika —
na lipie przykaplicznej kieruje swe kroki —
tam owo i czeladka w skupieniu się zmierza —
tam owo mieszka Matka Dobrego Pasterza
oczekująca —

— — — —

już od świtu niepokój, co się z sercem zsila,
gnał ją przed próg zagrody co kwila, co kwila —
(— nik jej ta nic nie mówił — ale sercu nie trza
ino wiary nadziejnej, jak płucom powietrza,
jak rybie wody — serce ta miarkuje wcześnij,
nim się radoś lub boleś jawno ucieleśni —)
— robi coś wele jadła — juz przed chałpe leci —
— to ją skrzek sroki zmani, to powrzaski dzieci —
— znowu nic — — pokręci się po izbie — zaś wraca —
a dróga sie wciąz dłuzy — nijak sie nie skraca —
— dłonią nadkrywa łocy patrzyniem znużone
i wypatruje bystro na wszelaką strone —
...cos mie serce tak zwodzis... cas nie przysed jesce —

ino se tym patrzyniem łocyska wyblesce...
a móze przyńdzie... dzisiok? — skądzezaś — a przecie
...kto wi... coś mi sie śniło... juz chodzi po świecie
...wszyśko być moze... kto wi... —

— poprawio na ręku
rękowki koronkowe — ...synku ty mój, synku
...tela lot cie nie widzą moje stare łocy...
rok sie po roku w wiecnoś, jak te koła, tocy —
a ciebie nijak nima — powiadali ludzie,
ześ sie naponiewieroł w biedzie, głodzie, trudzie —
ale juz cas, byś przysed... codziennie ci chowom,
chociek ta biedno i od downa gdową —
ale codziennie chowom zbytni bochen chleba —
myślem se: przecie przyńdzie ten dzień, ta potrzeba —.
ze cie nim przyjme — pocęstuje —...
a ciebie nijak nie widać —...
— i zaś ją cosik wtrząsło — wychodzi przed progi —
— a tu —!!— az serce stanyło — bo z drogi
— — — — — — — — — — — bo z drogi
schodzi gromadka jakoś — — a na przedzie — — krocy—
...cy mnie nie mylą moje kcące widzieć łocy —
...ON idzie —!!— idzie —!— Boże! — moje docekanie —
...jesce kwilka, a juz tu kole proga stanie —
...zamietłak — jak to dobrze... idzie...
...w izbie posprzanowane... krok jeden...
...juz — stoji —!!— — — — — — — —
— zalęk ją wzion — głosu wydobyć sie boji —
— — — — — — — — — — — ni może —
— takby tam sła — — mój Boże — mój Boże —

— łzy błyscą — łzy krzycą — — mgła —
— wreście — wreście — : — mój synu — ! —
— tyześ?! — — jękła — — a ON już schyla się u drogi —
całuje kwarde ręce — obejmuje nogi —
— — Matko — ! — . . . Matuś jedyna . . . przysedek . . . doś
[wcześnie
— o tej kwili jo myśloł na jawie i we śnie —
ze z twyk rąk wezme siłe i błogosławieństwo
na zycia mego wielgi trud i na męceństwo —
. . . synku . . . jękła — i łza ji po licu sie tocy —
. . . scęśliwe moje zycie — scęśliwe me łocy —
ze cię widzą — wstańze — wstań —
— uróześ — Boże . . . coza radoś —
wszyśkiego juz mom zadoś — wszyśkiego mom zadoś —
bo ciebie mom — bo ciebie widze —
—
i spletli sie tam wtedy SYN i Dobra Matka
rozmiłowani w sobie do serca ostatka —
—
— zaś ucznie stali pobok —
— a wraz sie zlecieli
wszyscy co ono przyjście żywo widzieć chcieli —
baby dziecka i chłopy stanęli w prostokąt
z naszeptem przynabożnym: co, jak, skąd, a dokąd —
czy ostanie — czy długo — czy to ta godzina —
czy to ta — a no juści! — cas? — Dobra Nowina —
— ten mówi — tamten słucho — patrzą sie — az nagle —
jak skróś cisy gdy wiater pchnie spoczęte żagle —
rzuciło sie to wszyśko do tej świętej ręki —
co wraz błogosławieństwa dzierżyła i męki —

— tęsknoś nie zno miary — — tak serca przyłogowe
zakwitały jak łąki — a wciąż kwiaty nowe
wzrastały w barw przepychu i upojnej woni —
a w każdym serce śpiewa — miłość w każdym dzwoni —
— tak wtedy ta godzina zwidzeniem poranna
przez ludzkie głosy w niebo uderza —: hosanna —
— a wraz z człowieczym sercem cała ziem dokoła
niech będzie pochwalony Jezus Chrystus — woła —
a domyślność radosna zdania skupia, zwija:
niech będzie pochwalona wraz z Nim i Maryja —
— — tak się szczęście pleniło — i w bezkres daleki
wpłynęło ciepłą falą z ziemi — a na wieki — —
— hosanna —
— — — — — —
az Matka wciągła Syna poprze próg do izby —
powsinogi przysiadły wzdłuz drzewianej przyzby —
tu dopiero zaczęto, ze śmiałości więcej —
wieść pogwary donośniej, gwarliwiej, goręcej —
lecz niedługo — ; — wspomniała natychmiast Maryja
przytomna co powinność i jaka i czyja —
wprosiła uczni downątrz — i z radością w oku
poznawała znajomków — a to wyście swoku
Tumuliku — ? — i Wowro — ?! — e — Szymon — patrzcie
jak to zmłodnioł do znaku i jak sie to niesie — [sie
— a kaz Okruta — ? — tyś to Janku Kiceczoków —
telak cie nie widziała — tela długich roków —
— co sie tys to podzioło — cie — i druciorz hawoj —
jus ci tes ta nie powiem: gorki ponaprawioj —
boś ta do inksy roboty zgodzony — ciewy
toście i wy są tu kamieniotłuku — ciewy

sadownik tys — i śklorza widze — a te syby
coście mi to ta kiesik zaprawiali niby
trzymają podziśdzień — tele lot — — —
witają sie — ; — proszeni posiadali wkoło
przychylnoś oddawując dwom zstawionym stołom
nakrytym biołym płótnem — a bochenki chleba
razowego czernią się jak pszeniczna gleba —
sól i masło, miód w plastrach, mleka gar dwuuszny
przymilały się skromnie — poczęstunek słuszny
strudzonym wandrownikom — —
—
tymczasem wsiowi wieść swą podający w omów
roześli sie radośnie do radosnych domów
—
a tedy Chrystus rzecze — : matko dy siadojcie
a tak sie po ty izbie juz nie uganiojcie —
downom wos juz niewidzioł — downo — niek sie przecie
naciese wami — pamiętom wos jako dziecie
tyle — — a potem — dopiero — dziś — moiściewy —
ile to ta juz wiesen popuscały krzewy —
— a ten głogowy stoi — ? — jest — ! — ano tak czeko —
on ta czeko — a jo tam sed — ej — tak daleko —
i wróciłek ku niemu — — lec doś — ! — dzień dzisiejsy
ten dzień jest jeden lo mnie — a nojradośniejsy — —
— zamilk kwile — a potem chleb połamał ręką
i rozdał wszystkim wkoło zmożonym udręką —
pobłogosławił kromy i serca razowe
co to miały już ruszyć na urody nowe — —
— — a ino oczy matki miłosne dojrzały
kwiat ręki pięciolistny — kwiat wonny i biały —

SPIS RZECZY:

Str.

EDWARD KOZIKOWSKI: Do czytelnika 5

LUDWIK MISKY:
PORTRET JANINY BRZOSTOWSKIEJ 21

JANINA BRZOSTOWSKA:
Bez przewodników 25
Topole w Radoczy 26
Wadowice 27
Ludzie na brzegu 29
W te góry... 30
Młyn w Białce 31
Codzienną drogą 32
Cmentarz w Mucharzu 33
W wąwozie 34
Samotnicy 36
Ku szczytom 37

EDWARD PORZĄDKOWSKI:
PORTRET EDWARDA KOZIKOWSKIEGO 41

EDWARD KOZIKOWSKI:
Przedwiośnie 45
Ballada o drwalach 46
Możeś Wawrzek z Gorzenia 48
Wycieczka na Lipowiec 49
Z Wadowic do Mucharza 51
Szlak Jana Kazimierza 55
Czartak 57
Przez Mucharz... 59
Na przełęczy babiogórskiej 60
Zejście z Djablaka 61
Ty będziesz... 62

Str.

JAN HRYNKOWSKI:

PORTRET TADEUSZA SZANTROCHA 65

TADEUSZ SZANTROCH:

Droga 69
Krajobraz muzyczny w Beskidzie 72
Romans w górach 74
Buki na Leskowcu 76
Święty Wojciech w Mucharzu 77
Syn marnotrawny 78
Wieczór pod Babią Górą 79

JERZY HULEWICZ:

PORTRET EMILA ZEGADŁOWICZA 81

EMIL ZEGADŁOWICZ:

Hymn Republiki Górskiej 85
Waleta beskidzka arjan 86
Ballada o nawiedzeniu miłośnem 89

REJESTR

WYDANYCH KSIĄŻEK POETÓW CZARTAKA

JANINA BRZOSTOWSKA:

Szczęście w cudzem mieście — 1925 r.

EDWARD KOZIKOWSKI:

Płomyk świecy — 1921 r.
Tęsknota ramy okiennej — 1922 r. (Wyczerpane).
Antologja poezji murzyńskiej Niam — Niam. Przekłady. (Wespół z Emilem Zegadłowiczem) — 1923 r.
Tęsknota ramy okiennej. Poezje. Wydanie drugie — 1924 r.
Koniec Hortensji Europy. Poezje. — 1925 r.

TADEUSZ SZANTROCH:

Poezje — 1906 r.
Z lutni żołnierza. Poezje — 1916 r.
W zorzach krwi. Poezje — 1918 r.
Cyklady. Poezje — 1924 r.

EMIL ZEGADŁOWICZ:

Drogą życia. Poezje — 1908 r.
Nad rzeką. Poemat — 1910 r.
Powrót. Poezje i poematy — 1911 r.
Imagines. Poezje — 1918 r.
Tematy chińskie. Przekłady — 1918 r.
Odejście Ralfa Moora. Poemat — 1919 r.
Ballady — 1920 r.
Dziewanny — 1921 r.
U dnia, którego nie znam, stoję bram — 1921 r.
Powsinogi beskidzkie — 1923 r.

Kolędziołki beskidzkie — 1923 r.
Zielone Święta — 1923 r.
Ballada o Wowrze — 1924 r.
Przyjdź Królestwo Twoje — 1924 r.
Wielka Nowina — 1924 r.
Noc Świętego Jana Ewangelisty — 1924 r.
Kantyczka rosista. Poemat — 1924 r.
Nawiedzeni. Misterjum balladowe — 1925 r.
Powsinogi beskidzkie. Wydanie drugie — 1925 r.

NA SKŁADZIE GŁÓWNYM W KSIĘGARNI
S. A. KRZYŻANOWSKIEGO W KRAKOWIE

Druk książki ukończono dziesiątego grudnia tysiąc dziewięćset dwudziestego czwartego roku czcionkami Drukarni „KRAJOWEJ“ (W. Krawczyńskiego) w Warszawie, ul. Żelazna 89. Okładkę oraz inicjał na stronicy siódmej projektował i wykonał JAN HRYNKOWSKI. Odbito pięćset pięć egzemplarzy; z tych pięćset na papierze bezdrzewnym „Royal„ a pięć na papierze czerpanym.